

Grałam z zamkniętymi oczami

ROZMOWA Z
✓ **Krystyną Jandą**

PAWEŁ T. FELIS: Nie jest Pani zaskoczona, że część dziennikarzy próbuje wcisnąć „Parę osób, mały czas” w kontekst polityczny?

KRYSZYNA JANDA: To kwestia rutyny – rzecz dzieje się na przełomie lat 70. i 80., więc pytamy o politykę. Najbardziej polityczne jest to, że człowiek, któremu w każdej chwili groził zawał, przez wszystkie te lata nie mógł mieć telefonu. Cezurami w filmie są własne podania i próby o telefon. A polityka? Miron Białoszewski, Jadwiga Stańczakowa to byli ludzie, którzy mieli poważniejsze sprawy na głowie – zajmowali się sztuką.

Rzadko o tym mówię, ale byłam raz u Białoszewskiego w mieszkaniu na placu Dąbrowskiego jako studentka szkoły teatralnej. Pytaliśmy go o jego poezję i o to, jak należy ją mówić. Wyszłam przerażona. Dla mnie, osoby z mieszczańskiego domu, ktoś, kto leży cały dzień w łóżku, ma szyby pomalowane na czarno i żyje poezją, z godziny na godzinę wydawał się niemal zagrożeniem mojej egzystencji! **Przy pierwszym kontakcie nie był pewnie wyjątkowo uprzejmy.**

Nie był, to prawda. Ale przede wszystkim miałam poczucie, że wchodzę w inny świat. Nigdy nie byłam artystką z bożej łaski jak Białoszewski czy Stańczakowa. Zawsze wykonywałam zadania, dążyłam do konkretnych celów. Do dziś jestem pragmatyczna. I dlatego właśnie, kiedy pierwszy raz przeczytałam scenariusz Andrzeja Barańskiego, byłam zachwycona. Zachłysnęłam się czymś, na co sama nigdy nie miałabym odwagi.

W tworzeniu roli Stańczakowej ważniejszy był jej „Dziennik we dwoje” czy rozmowy z rodziną i przyjaciółmi?
- Przeżytałam wszystko, co napisała, obejrzałam fragmenty kroniki fil-

mowej i „filmiki” z jej udziałem, które kręcili z Białoszewskim. I z tych strzępów próbowałam zbudować sobie całą postać. Jej córkę Annę Sobolewską i zięcia Tadeusza Sobolewskiego dopytywałam o szczegóły. Okazało się, że intuicyjnie rozumiałam panią Jadwigę jako osobę. Ale pamiętam, jak na planie pojawiła się Anna Sobolewska. Właściwie nigdy mi się to nie zdarza, ale poczułam dziwny rodzaj wstydu. Jakbym dotykała czegoś bardzo intymnego.

Filmowa Jadwiga Stańczakowa jest wyrazista, ale nie ma śladów typowej dla Pani ekspresyjności.

- Osoby niewidome zupełnie nie przywiązują wagi do tego, jak wyglądają. Najważniejszy był więc dla mnie sposób bycia, chodzenia, siedzenia, nagle zagapienia, roześmiania czy niedbała sylwetka. Odważyłam się na przerysowania, żeby pokazać osobę, która emocje pokazuje w zupełnie inny sposób, dla widzających – nieco niezadarny. Jak dziecko. Zwłaszcza że cały czas nosiłam ciemne okulary. Żeby wejść w ten świat jeszcze lepiej, prawie cały film zagrałam z zamkniętymi oczami.

„Parę osób, mały czas” to film o relacji mężczyzny i kobiety – twórczej, chwilami trudnej i okrutnej, przyjacielskiej i miłosnej. Co w tej relacji wydało się Pani najważniejsze?

- Myślę, że gdy Jadwiga Stańczakowa spotkała Białoszewskiego, była w pewnym sensie osobą uśpioną. Zrezygnowana, bez pretensji czy pragnień, a co więcej – traktowana przez rodzinę, zwłaszcza przez ojca, jak niepełnosprawna. Miron dał jej nowe życie. Wymagał od niej więcej nawet niż od osoby zdrowej. Jakby na nowo ją stworzył.

Stańczakowa z kolei dała Białoszewskiemu coś, za czym całe życie tęsknił – miłość i uwielbienie dla jego poezji. Białoszewski mógł być głodny, mógł chodzić 20 lat w jednych spodniach, ale niewiarygodnie potrzebował akceptacji. Pani Jadwiga pokochała w nim człowieka, poetę, mężczyznę, jego wyobra-

nie, sposób obrazowania, nawet jego słabości. On, który wystawał ponad przeciętność, znalazł w niej odbiorcę bezgranicznie zachwyconego. Jeśli moge o tym mówić, mam wrażenie, że oboje dali sobie coś najcenniejszego.

Siedem lat trwało zebranie pieniędzy na realizację tego filmu, potem skromny budżet wymusił ograniczenia i taśmę telewizyjną. Teraz główny konkurs w Karłowich Warach, wreszcie z taśmą filmową. To spóźniona nagroda?

- Bez wątplenia. Tylko że są rzeczy, których naprawić się już nie da. Gdyby ten film był zrealizowany – jak planował reżyser – dla kina, byłby bardziej epicki i uniwersalny, mniej byłoby scen w mieszkaniach, które wyraźnie męczą. Byłam zrozpaczona, widząc, jak w kolejnych wersjach scenariusza Andrzeja Barański „pomniejsza” tę historię na potrzeby filmu telewizyjnego.

W zeszłym roku w Gdyni dostał Jędrynia nagrodę aktorską – za Pani rolę – oraz wyróżnienie krytyków. Była Pani rozczarowana?

- Myślałam, że będzie gorzej. Byłam zbudowana przyjęciem krytyków, ale też widzów, których ten film poruszył – w tym moich kolegów reżyserów, np. Feliksa Falka. A nagrody? Ten scenariusz widzieli wszyscy producenci filmowi w Polsce i prawie wszyscy ci, którzy byli w Gdyni. Mieli już z nim zdanie. Dopiero świeże spojrzenie, jak tu, w Karłowich Warach, pozwala ten film ocenić. Jestem ciekawa jego przyjęcia.

To kino wyjątkowe, bo mówi o relacjach, emocjach, światach, o których nie da się opowiedzieć słowami. Tylko trzeba uwierzyć, że widzowie są na takie kino gotowi i że publiczność w Polsce nie jest uboga duchowo i nie rozumie podwójnie złożonych zdań, jak sądzą niektórzy.

Film wejdzie niedługo w Polskę do dystrybucji. Zobaczymy, jak będzie walczył o swoje miejsce. ○

ROZMAWIAŁ
PAWEŁ T. FELIS